

Zbigniew Mika

To nie były obietniczki...

Niezgrabnymi literami Kowalik zapisał w notesie: „Józek Warzonka z Pawlina mówi, że im we wsi potrzebna świetlica, bo żyćcie kulturalne leży, a przydałaby się też brukowana droga”. Zebrani bili brawo rezolutnemu Józkowi, jeszcze z godzinę rozdali a potem rozeszli się do domów. Minęło wiele miesięcy i byłiby o wszystkim zapomnieli, gdyby któregoś dnia nie przyjechał z powiatu jegomość z teczką i nie wziął na spytki sekretarza gromadzkiej rady: a jak tam ze świetlicą w Pawlinie, co zrobiono przy budowie drogi...

Sekretarz był wyraźnie zatroskany, co gośtu tłumaczył, nie ukrywając zdziwienia, że tam na górze o tym wiedzą. Nie sądził bowiem, że notatka Kowalika zawędrowała na wysoki powiatowy szczebel. A tak w istocie było. Wszystkie nawet najdrobniejsze postulaty zgłoszone na zebraniach przedwyborczych (mowa o ostatnich wyborach do Sejmu i rad narodowych) znalazły się w specjalnych rejestrach. Wpisano je tam z benedyktyńską starannością nie dla czegoś przecież formalności.

Taka „księga główna” obywatelskich wniosków wyborczych z całej Wielkopolski znajduje się w Prezydium WRN, ma 10 cm grubości i zawiera 7524 postulaty. W liczbie tej 984 przypało załatwić Prezydium WRN, 2750 — prezydium PRN, 1287 — władzom miejskim i 2503 — gromadzkim radom narodowym.

Rodziły się one w najróżniejszych środowiskach, ale najwięcej kłopotów i potrzeb mają, widać, ludzie w dziedzinie rolnictwa i leśnictwa, skoro aż 23,4 proc. postulatów przypada właśnie na te zagadnienia. Na drugim miejscu znalazły się sprawy komunikacji i łączności (18,9 proc.), a na trzecim — gospodarki komunalnej i mieszkaniowej (15,3 proc.).

Nie miało to oczywiście wpływu na różnorodność treści postulatów. Ujawniło się tu całe bogactwo tematyki naszego życia gospodarczego i społecznego. Stąd to i ciężar gatunkowy wniosków był bardzo rozmaity. Jedne dotyczyły spraw drobnych (ktoś na przykład domagał się założenia telefonu dla miejscowego weterynarza), inne wkraczały w kwestie gospodarki narodowej (proponowano budowę fabryki i przetwórnici).

Nie trzeba chyba specjalnie uzasadniać, że jeśli chodzi o realizację proponowanych obiektów o charakterze inwestycyjnym, nasuwają się pewne kłopoty. Każda najmniejsza nawet fabryka, szpital czy most wymaga bowiem wieloletnich przygotowań i ogromnych nakładów finansowych. Nie przeto dziwnego, że część tego rodzaju postulatów trzeba było odłożyć do wykonania pod koniec obecnej lub w następnej 5-latce. Ba, pewna liczba wniosków — stosunkowo niewielka, bo zaledwie 21 proc. — nie da się urzeczywistnić w najbliższej przyszłości. Dlaczego? Powody są różne. Nie ma na przykład środków na pobudowanie magazynów hurtowych w Pile, nie da się chwilowo poprawić zaopatrzenia w materiały budowlane; potrzebniejszy jest także wsi Pecna ośrodek zdrowia niż dom kultury. Były i takie propozycje, które pokrywały się z zamierzeniami władz, na przykład melioracje w Kaliskim i zbiorniki wodne na Prośnie. (Będą one realizowane zgodnie z planami narodowymi.) Postulatów nierealnych, nie liczących się z naszymi możliwościami, odbiegających rażąco od planowanych perspektyw gospodarki narodowej — było bardzo mało.

Ale wróćmy znowu do pierwszego jakby etapu realizacji obywatelskich wniosków wyborczych. Cóż więc się stało z propozycją Józka Warzonki z Pawlina? Inspektor powiatu odkrył, że choć wyborcy przyklasnęli potrzebie świetlicy i budowie drogi — nie w tej materii nie zrobiono, a samo się zrobić nie chciało. Tylko

bowiem niektóre z propozycji przekazano wyższym szczeblom władzy lub powierzono do realizacji instytucjom takim jak PZGS, służba zdrowia czy PKS. Pozostałe należało wykonać we własnym zakresie przy pomocy czynów społecznych.

W oparciu więc o pomoc finansową państwa — ta została zagwarantowana — należało zabrać się do roboty. Od osobistej zapobiegliwości władz przeto zależało, jak i kiedy przybrały one materialną formę. Z tą zapobiegliwością okazuje się jednakowoż nie najgorzej, skoro dotychczas w naszym województwie załatwiono 6746 wniosków, to jest 89,6 proc. z tego 68,4 proc. — pozytywnie. I choć stan taki upoważnia do optymizmu, wymienić tu trzeba kilka powiatów, które raczej nie wykazują zbyt dużej troski o obywatelskie postulaty. Wśród nich jest Poznań, Kalisz, Ostrzeszów, Pleszew, Kępno, Jarocin i Konin. W Ostrzeszowie na przykład na 143 postulaty załatwiono dopiero 42.

Takie zaniedbanie nie da się chyba wytłumaczyć nawet obiektywnymi przeszkodami. Wymienić tu te ważniejsze. Zdarza się więc tak, że choć postulaty wysuwano pod adresem radnych publicznie, to gdy przychodzi do ich realizacji drogą czynu społecznego, za mało jest chętnych, by z łopatą wyjść na drogę czy z wozem do budowy. Ot jakby wnioskodawca sobie, a nie społeczeństwu starał się wyświadczyć przysługę. Bywa i tak, że są kłopoty z zaopatrzeniem, dokumentacją czy fachowym nadzorem nad robotami. Wydziały prezydiów PRN (im zlecono kontrolę i fachowy nadzór) często zbyt mało uwagi poświęcają tym sprawom, nie spiesząc z pomocą i radą.

W gruncie rzeczy jednak wszystkie te zalety od ludzi: od tych co na szczeblu władzy stoją i od tych „szeregowych”. A jakie rezultaty daje umiejętne połączenie zapobiegliwości i energii jednych z obywatelską ofiarnością — drugich, można sprawdzić w wielu miejscowościach naszego województwa. Wystarczy choćby zajechać do Borku Wlkp. w powiecie Gostyń lub Zdunów w powiecie Krotoszyń. W powyborczym okresie zrobiono tam więcej niż przez wiele poprzednich lat.

Adresowane do radnych wnioski wyborców nie są czymś nowym. Nigdy dotychczas władze terenowe nie wykazały tyle konsekwencji i staranności w ich realizacji co obecnie. Rezultaty tego są widoczne, jak najbardziej wymierne, choć nie brak i tych z kategorii pozamaterialnych.

Dokończenie na str. 4

Piotr Życki

Miedzy fikcją a mandatem

Starsi mieszkańcy wsi pamiętają takie lub podobne historyjki. Bywało, że znudzony monotonią schludnych na ogół zagród „granatowy” — wstępował do obejścia któregoś z rolników trzykrotnie w ciągu dnia; każdy jego pobyt kwitowany był mandatem karnym. Policjanci najchętniej przedmiotem swoich zainteresowań czynili psa. Można było zawsze stwierdzić, że podwórkowy Burek trzymany jest — wbrew przepisom — a) na zbyt długiej uwięzi; b) zbyt krótkiej; c) biega niewiązany. Anegdota mówi, że chłop, po takiej potrójnej dawce mandatów, skołowany do cna, najczęściej ułatwiał psinie roztanie się z tym światem w trybie nagłym.

Byłoby najmilej, gdybyśmy mogli poprzestać na stwierdzeniu, iż

apoczątkowaną na łamach „Głosu” dyskusję na temat współpracy w poznańskim środowisku naukowym ocenić trzeba jako bardzo szczęśliwą inicjatywę. Nie domogi w dziedzinie koordynacji pracy badawczej w skali krajowej, jak i w poszczególnych środowiskach lokalnych muszą rzeczywiście budzić poważne refleksje. Sądzę, że chodzi tu o zjawisko ogólniejszej natury. Jednym z paradoksów współczesnego życia jest to, że nauka toruje wprawdzie drogi praktyce życiowej, ale ustępuje jej zdecydowanie w dziedzinie organizacji. Wiać domo, że życie gospodarcze naszych czasów cechują dwie, ściśle ze sobą związane tendencje: z jednej strony wzrastająca specjalizacja, z drugiej koncentracja i kooperacja. W jakim stopniu tendencje te przejawiają się również w nauce? Gdy chodzi o specjalizację, rzecz przedstawia się jednoznacznie. Nie ulega wątpliwości, że ktoś, kto chciałby objąć zainteresowaniami naukowymi taki zakres wiedzy, jak to się zwykło dzieć jeszcze przed półwiekiem, byłby po prostu wykształconym dyktantem. Specjalizacja w dziedzinie badań naukowych jest dziś nieodzowną koniecznością, jest rekojmia postępu we wszystkich dziedzinach wiedzy. Odnosi się to nie tylko do nauk ścisłych, ale również do dyscyplin humanistycznych.

Zapóźnienie nauki

Specjalizacja narzuca nieodparcie współdziałanie. W tym jednak zakresie zapóźnienie nauki rzuca się jasrawo w oczy. Kiedyś na przełomie XVIII i XIX w., gdy wielki przełom techniczny w gospodarce światowej, zwany rewolucją przemysłową, pociągnął za sobą również doniosły przezwrot w dziedzinie organizacji życia gospodarczego (koncentracja, akumulacja), w ślad za tym nie poszła rewolucja w dziedzinie organizacji i techniki badań naukowych. Uczni w dalszym ciągu pracowali najęściej w pojedynkę, mozolnie nieraz dochodząc do wyników, które daleko prędzej i łatwiej można by osiągnąć wspólnym wysiłkiem. Współpraca naukowa zaczęła rozwijać się dopiero w XX w., właściwie dopiero po pierwszej wojnie światowej. Od tego czasu uczyniono poważny krok naprzód, dystans nie został jednak wyrównany. Dziś, gdy świat wszedł w okres nowych wielkich przeobrażeń technicznych, gdy kooperacja we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego stała się warunkiem wszelkiego postępu, stare metody w nauce również muszą ulec rewizji.

Przemiany społeczno-polityczne w Polsce powojennej stworzyły dla zespołowej pracy badawczej zupełnie nową sytuację. Gdyby to nie było banałem, można by mówić o „zakręcie dziejów”, na jakim znalazły się u nas badania naukowe. Pojawili się nieznane w historii naszej nauki możliwości zmasowania sił i środków dla osiągnięcia szerszych, z góry zaplanowanych celów badań czyh. Czy wykorzystujemy w pełni te możliwości? Mówiąc językiem ekonomistów, w dużej mierze znajdujemy się jeszcze na etapie „ko-

operacji prostej”. W niektórych katedrach zespołowych oraz instytucjach uczelnianych kooperacja nie wyszła dotąd poza ewidencje indywidualnych inicjatyw badawczych poszczególnych pracowników nauki, wchodzących w skład zespołów. Chyba w skromniejszym zakresie — poza nielicznymi wyjątkami — rozwija się współpraca między placówkami badawczymi przy wyższych uczelniach a regionalnymi towarzystwami naukowymi i instytucjami resortowymi, jak również między samymi uczelniami.

Poznań powinien przodować

Wyda się, że poznański ośrodek naukowy znany z „dobrej roboty”, może i powinien w dziedzinie współpracy naukowej świecić dobrym przykładem.

Współpraca ta mogłaby rozwijać się na kilku płaszczyznach. Chyba szczególnie cenna byłaby współpraca katedr równomiernych lub po-

ne współpracy, na racjonalnym podziale zadań. Jesteśmy chyba jeszcze za biedni, aby pozwolić sobie na dublowanie wysiłków badawczych. Myślę, że przy współpracy poszczególnych uczelni i innych placówek naukowych tego rodzaju przypadki w naszym środowisku naukowym mogłyby być całkowicie wyeliminowane.

Badania kompleksowe szczególnie cenne

Największą korzyścią współpracy byłoby podejmowanie badań zespołowych na szeroka skalę tzw. badań kompleksowych, opartych na współdziałaniu specjalistów z różnych dziedzin. Red. M. Skąpski jako przykład wymienił współdziałanie nauki w pracach nad zagospodarowaniem okręgu konińskiego. Nie ulega wątpliwości, że tu ścisła współpraca ekonomistów z przedstawicielami nauk przyrodniczych i technicznych, jak również z socjologami i etnografami mogłaby przynieść szczególnie cenne rezultaty.

Zagadnienia naukowo-badawcze nie wyczerpują jednak dobrodziejstw koordynacji. Była o nich mowa w dotychczasowej dyskusji. Możliwość zajmowania uzgodnionego, jednolitego stanowiska w sprawach tak ważnych jak inwestycje budowlane dla potrzeb naszego środowiska naukowego, możliwość solidarnej reprezentacji interesów nauki w stosunkach z władzami centralnymi i lokalnymi — to jeszcze jedna z wielu korzyści współdziałania.

Działać stopniowo

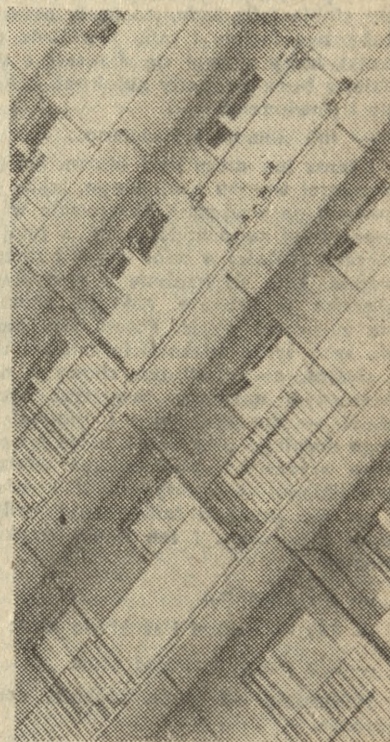
Rzecz jasna, wszelkie kroki w kierunku zacieśnienia współpracy muszą być podejmowane ostrożnie i stopniowo, przy pełnym uwzględnieniu specyfiki poszczególnych uczelni i placówek naukowych. Myślę jednak, że przy ustalaniu nowego pięcioletniego planu rozwoju nauki (1966—1970) rezultaty współdziałania powinny już być widoczne.

Komu powierzyć zadania związane z koordynacją? Sądzę, że należałoby wyłonić środowiskową komisję „na najwyższym szczeblu”, dla ogólnego przedyskutowania form współpracy. Udział przedstawicieli partii i władz naszego środowiska wydaje się konieczny zwłaszcza tam, gdzie chodzi o sprawy ważne dla życia gospodarczego lub też sprawy natury „bytowej” (lokalowej itd.). Należałoby jednak chyba unikać zbyt częstych zebrań i schodzenia na tory „urzędówek” i „roboty papierkowej”; z tego względu bardziej pożyteczne są wspólne zebrania i bezpośrednie kontakty zainteresowanych placówek: wydziałów katedr itp. Może też byłoby rzeczą wskazaną wyznaczenie jakiegoś stałego sekretariatu, w którym skupiałyby się wszystkie sprawy związane z koordynacją.

P. S. Tytuł i śródtytuły artykułu pochodzą od redakcji.

D. J. D. Bernal, The Social Function of Science. London 1943, s. 114.

Nowy dom



Z teki K. Przychodzkiego

dla obywateli przepisów prawa — jest fikcją. Jest fikcją w mieście, a co dopiero mówić o wsi.

Właśnie chodzi mi o mieszkańców wsi, których wprawdzie dziś nikt nie okpiwa w sposób przed chwilą opisany, ale którzy giną w powodzi mało znanych, albo wręcz nieznanym im uchwał, ustaw, zarządzeń. Bowiem wbrew pozorom ludność wiejska ma do czynienia z większą ilością przepisów prawnych niż miejska; poza ogólnymi normami, regulującymi życie obywateli w całym kraju jednak — wchodzą tu w grę dodatkowe postanowienia o obowiązkowych dostawach, kontraktacji, gruntach, przepisy drogowe (na wsi właściwie każdy prowadzi pojazd: wóz, rower, motocykl, traktor...), melioracyjne, z zakresu hodowli zarodowej (szczególnie zawile) itp.

Cóż robić, życie nasze, wraz z postępowaniem, staje się coraz bardziej złożone, komplikuje się; gdzie dawniej wystarczył ogólny przepis — dziś potrzeba serii szczegółowych paragrafów. Sedno sprawy w tym, abyśmy mnożąc paragrafy — osiągał

Dokończenie na str. 3

Czesław Michniak



(Opowiadanie)

Jerzemu Tuszyńskiemu

Obsiedli ławy, ściśnięci, jeden przy drugim, gęsto i parzyli na garnuszek z wodą, którą przepłukiwał wysychające gardło, a gdy mieli dosyć patrzenia, przymykali oczy i tak trwali. W przerwach czekał na nich, ale milczeli i w ogóle nie się nie dźwigało, tylko wciąż czuł ten ich potężny oddech i wiedział, że nic z tego nie będzie. Dlatego tu przyjechał.

A jednak słońce już zaszło i nikt nie mógł temu przeciwdziałać i on był bezsilny wobec kulistości ziemi i faktu, że krążyła dokoła słońca i teraz już tylko czarowna, jakby polana krwią, smuga leżała na słyku nieba z ziemią, nad lasem.

Wtedy najwyższy i najtępszy, jeden z tych, którzy słuchali i nic nie mówili, poruszył się i wstał i cisza przysnęła i coś w nim zaskrzypiało. Odbiłek owej smugi jeszcze rozparzał chudemu twarz i zmęczone, wpadnięte oczy a ten wielki jak żuraw i frzesący sięgnął po lampę, zapalał ją wolno, knoć podkręcał uważnie, jakby chciał podkreślić doniosłość tej czynności w słosunku do słów, w które godziła cisza. Lampa zawisała na haku w ścianie, od której odprysnął płat wapna i ukazało się tam drzewo, zmurszała deska, trochę wapna białe na podłodze i schło do cna w duszącym powietrzu. Wszyscy patrzyli na tę lampę i ranę w murze, ślad po kuli, którą tu wysłano wczoraj w nocy, patrzyli w ten jeden punkt i na chudego i znowu tam.

A potem ten, który pełnił funkcję lafarnika, włożył na głowę czapkę i bez słowa wyszedł. Trzasnął drzwiami, a tutaj tylko oddech wyszłszy. Tylko oddech. Było go widać przez okno. Zatrzymał się na zakręcie drogi, gdzie rosła wierzba, między gałęziami prześwitała jeszcze ta uciekająca krwawa smuga, ale także przedzierła się już mgła znad łąk i wszystkie fioletości. Wielki zniechęcony, zasłyszany jakby wsparły o pień, krępy, nie wysoki pień.

A wtedy ten drugi, siedzący z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby się wstydił albo płakał, ruszył z miejsca i przy stępując do chudego, rzekł półgłosem:

— Ściemnia się...

Chudy odepchnął z ulgą: przemówili.

— Et, co tam — odparł i powiódł oczami po salce, ale znowu zaległa cisza, tylko pies w sąsiedztwie szczeleł i skowyczał na przemian. A ten, który rzekł: „ściemnia się”, chrząknął, dając znać, że był i nie odchodził i napierał na chudego, jakby chciał wymusić szybką decyzję, przekonać go o tym, że po dniu przychodzi noc i wszystko może się zdarzyć.

Ale nie usłyszał odpowiedzi i zrezygnował, usiadł przy oknie a jego twarz zarościła i przez to dzika i niezbadana znalazła się na wprost wielkiego i wierzby, oboje przytuleni do siebie byli już tylko zmierzchem.

A on mówił do nich wciąż to, co mówił powinien i wiedział przecież, że słowa trafiając na głębię powierzone, szlęgały się po niej, kręcały w kółko, szukając nawzajem jak ziarenka piasku niesione pustynnym wiatrem, miał na przeciw siebie taflę lodu, po to tu przyszli, żeby być lodem i taflą i właśnie ten trzeci, który zdawał się drzeć a siedział z boku podparty kulakami, ocknął się i powiedział:

— Już ciemno, już ciemno...

I teraz ten drugi pod oknem już nie spuszczał wzroku z wielkiego, jakby się umówili na wzajemną obserwację w tej granatowej zapowiedzi nocy, a tutaj w ciężkiej żółtości w okół lampy i resztek wapna, kula wyszłona z visa tkwiła głęboko w drzewie. Nikt jej stamtąd nie zamierzał wyjąć. Potem ten, który nie spał, tylko znakomicie udawał sen i słyszał, co mówili ten chudy o niewiadomym nazwisku, towarzysz chudy N. N. — nie spał więc i spojrzał na tego drugiego przy oknie, które już całkiem ściemniało, pochłaniając wierzbę i wielkiego. A chudy mówił i mówił i nic nie przebiło taflę oczu i zwilżanych śliną warg. I ten trzeci krzyknął niemal:

— Już ciemno...

— Tak — odparł i rzekł do nich:

— Kto pragnie zabrać głos!

Nadleciały od pleca, szybko, coraz szybciej.

— Już ciemno, już ciemno...

Dokończenie na str. 3

Algieria — czy koniec chaosu?

Pod takim tytułem ukazała się na łamach „France Observateur” (z 6 bm.) korespondencja specjalnego wysłannika tego pisma do Algieru — Claude Estiera. Autor korespondencji zastanawia się nad pytaniem, czy zwycięstwo dawnej „grupy z Tlemcen” w ostatnim kryzysie oznacza koniec chaosu w Algierii. Zastanawia się również nad tym, jaka była cena tego zwycięstwa i jakie będą jego konsekwencje.

Co prawda od tego czasu wiele się w Algierii zmieniło. Odbyły się już wybory, w których dwie trzecie wyborców opowiedziało się za Algierskim Frontem Wyzwolenia Narodowego. Warto jednak, aby czytelnicy zapoznali się z tym interesującym reportażem.

W ciągu 8 dni byłem osobiście świadkiem, w różnych miejscach kraju, wielu scen wzruszających, wstrząsających lub po prostu nieoczekiwanych. Największe wrażenie zrobiła na mnie scena, którą uważam za symboliczną dla obecnej atmosfery politycznej w Algierii, była to „inwazja” Pałacu Letniego w sobotę wieczorem (1 bm.), której nie tylko

byłem świadkiem, lecz w której, jeśli można tak powiedzieć, „uczestniczyłem”.

Tysiące młodych ludzi nie napotykać żadnego oporu, wkroczyło do budynku, w którym przez tak długi czas mieszkali generalni gubernatorzy kolonizacji, do budynku, w którym żaden z tych młodych ludzi nigdy nie był i być może, nie marzył nawet o tym, iż tam się znajdzie. Weszli po marmurowych

schodach... do ogromnych i pustych sal, zatrzymując się małymi grupami, by podziwiać rzeźbione boazerie, mozaiki na ścianach i sufitach... a potem oklaskiwali mówcę, który z zaimprovizowanej estrady wrzeszczał po arabsku: „Chcemy przywódcę, zostaniemy tutaj aż pojawi się jakiś przywódca”.

Dopiero po przeszło godzinie Ben Khedda wyszedł na balkon małej białej willi, którą dalej zajmuje, w głębi parku naprzeciw Letniego Pałacu. Nieśmiały, ledwie dosłyszalnym głosem, powiedział manifestantom, że podobnie jak oni jest przeciwko starciu, że nie przestał pracować na rzecz pokojowego rozwiązania i będzie robił to dalej. Tłum szukał przywódcy, a znalazł jedynie mówcę bez głosu. Powoli ludzie się rozeszli.

Lud zdobywający bez oporu Pałac, który zawsze był dla niego symbolem władzy, a potem opuszczający ten Pałac bez zniszczenia czegokolwiek, ponieważ nie wiedział co z nim zrobić, jest to mimo wszystko widok, jaki nie trafia się codziennie. Na ogół kiedy dochodzi do tego, znajduje się przywódca, który usiłuje wykorzystać tego rodzaju odruch ludowy. W sobotę wieczorem w Algierze nie było żadnego przywódcy. Ben Bellę widziano kilka godzin wcześniej w Tiaret, gdzie w mundurze wojskowym przeprowadzał inspekcję swych wojsk w towarzystwie majora Slimana, Khider, który sam telefonicznie przekazywał komunikaty agencji prasowym, wycofał się w nieznanym kierunku. Ben Khedda był obecny, lecz, wprawdzie szczerze poruszony zbyt wiele było w nim wahań, aby mógł działać skutecznie.

Dzień wcześniej, wieczorem, po wiecu UGTA, na który, ku wielkiemu zdziwieniu samych przywódców związkowych zdających sobie doskonale sprawę ze słabości ich organizacji rozbił na skutek wojny, przybyło 20 tysięcy osób, dawny przywódca polityczny, który od wielu tygodni dobrowolnie ukrył się w cieniu, powiedział mi: „Gdyby którykolwiek z przywódców, przyszedł i powiedział temu tłumowi: „Zaprzestajmy kłótni, jesteśmy wszyscy braćmi, niemożliwa jest walka między nami”, zostałby natychmiast wyniesiony do władzy”.

Co wybrać?

Sprawy, rzecz jasna, nigdy nie są tak proste. Prawdą jest natomiast, co wyjaśnia popularność hasła „Barake” (dosyć), które w ciągu kilku godzin znane było w całym kraju, że naród algierski, ci którzy wyszli na ulicę, i ci, jeszcze liczniejsi, którzy nie wyszli, od początku czuli się i czują obcy w sporze, który uważał za nierelacyjny w tak krótkim czasie po uzyskaniu niezależności, mającej położyć kres jego cierpieniom.

A kiedy mówię o narodzie, nie chodzi mi tylko o masy ludowe, o których zawsze łatwo powiedzieć, że są „za mało wykształcone”. Mówię również o świadomych i zorganizowanych działaczach, o mężczyznach i kobietach, którzy walczili, cierpieli, którzy byli torturowani, którzy zapłacili za wiedzę i którzy mówią prawie to samo, co powiedział mi mój przyjaciel Mokrane:

„Wybrać trzeba, lecz jak dokonać wyboru? Między czym a czym? Mówi mi się, że trzeba poprzeć wilej nr 4, ponieważ naprzeciwko znajduje się militarny uosobiony przez Boumedienne i arabski fanatyzm reprezentowany przez Ben Bellę. Stwierdzam jednak dziś, że za Boumedienne’m i Ben Bellą stoi Fares i rząd francuski”.

— Zachowasz więc neutralność?

— „Nie mogę być neutralny. Jestem działaczem. Od lat jestem głęboko zaangażowany, lecz dziś nie mogę przyłączyć się całkowicie do któregoś z obozów. W podobnej sytuacji znajdują się tysiące działaczy. Oto dramat, którego nie rozumieją przywódcy. Oni sami walczą wewnątrz zamkniętego koła, w którym zarówno działacze jak i w jeszcze większym stopniu naród, są nieobecni. Wyciągają stare historie z okresu dawnych partii nacjonalistycznych, z których młodzież algierska niczego nie rozumie. Centraliści czy nie centraliści — nie interesuje to nas. Byłem przeciwko TRRA, ponieważ był on odcięty od obecnej rzeczywistości algierskiej. Sądzę, że Biuro Polityczne znajduje się dziś w tym samym punkcie”.

Historia Kabylii

Mohanda Oul Hadja nazywają „starym”, ponieważ przekroczył już 50-tkę. Wygląda on na starca w szeregach tej armii, w której oficerowie mają przeciętnie po 30 lub 35 lat... Spędził całą wojnę w partyzantce. Jest to człowiek pro-

sty. Kiedy zatelefonowałem do niego w sprawie spotkania, on sam odpowiedział mi po drugiej stronie drutu. Spotkanie wyznaczono na następną godzinę. Po to by znaleźć sztab, zapytałem o drogę żołnierza na ulicy, który natychmiast zaprowadził mnie do pokójnika...

Zanim jeszcze skończyłem pierwsze pytanie, przerwał mi ruchem ręki...: „Chcę panu powiedzieć rzeczy prosto: Wszystko sprowadza się do walki o władzę. Biuro Polityczne i Boumedienne podzielili się rolami. Wykombinowali to między sobą, nie troszcząc się o naród. Ja, widzi pan, nie jestem z nikim. Zawsze myślałem, że co myśli naród. Byłem tutaj przez cały czas, podczas gdy oni byli za granicą. Nie wiedzą co myśli naród. Gardzą demokracją. Jedynym ich celem jest zaspokojenie własnych ambicji”.

Zatrzymał się na chwilę a potem kontynuował...

„Jedną rzecz uważam za bardzo charakterystyczną: Kiedy Biuro Polityczne zażądało od innych wiliwów marszu na Algier, dlaczego nie wspomniało o wiliw nr 37? Ani za ani przeciw. W rzeczywistości chcieli oni zniszczyć 4 wiliwy, aby zgnieść nas później. Lecz my się nie damy. Nie boję się Boumedienne’a”.

— Jest więc Pan nieugięty?

„Nie, nie jestem partyzantem. Mam tylko jedną ambicję, choć być rozsądnym. Jestem gotów dyskutować ze wszystkimi, ale pod warunkiem, że Biuro Polityczne zrezygnuje z narzucania swej dyktatury, a ludzie Boumedienne’a przestaną likwidować kadry krajowych działaczy”.

Trudna partia

Rozmowa ta miała miejsce w sobotę, po południu (2 bm.). Partia była wówczas w toku. Mohanda Oul Hadj wiedział, że będzie to trudna partia. Wiedział również, że nawet jeśli Ben Bella musi wygrać, on, w imieniu Kabylii, nie musi przegrać.

Estier opisuje swoje wrażenia z frontu w Boghari: „Po jednej stronie ręczne karabiny maszynowe, kilka karabinów maszynowych, kilka bazooka. Po drugiej czołgi, ciężka broń, całkiem nowe ciężarówki. A pośrodku setki cywilów siedzących na gołej ziemi i krzyczących, że nie wolno strzelać”.

A jednak strzelano. Byli zabici. Ben Belli chodziło o to, by było możliwie jak najmniej zabitych. Wydaje się pewne, że hamował zapal Boumedienne’a i Slimana’a. Od „Blitzkriegu”, który doprowadziłby go do Algieru w ciągu kilku godzin, wolał „długi marsz”, który trwał kilka dni. Było to sprawą zasadniczą z punktu widzenia politycznego. Jego dług wobec sztabu generalnego nie jest przez to mniejszy. Jest obecnie głównym elementem sytuacji. Biuro Polityczne zainstalowano ponownie w Algierze... nie rozwiązało bowiem wszystkich problemów, które stały przed nim, zanim się samo rozpadło. Trzeba przeprowadzić wybory, utworzyć rząd, stworzyć strukturę partii FWN. Trzeba również uzdrowić sytuację ekonomiczną, która uległa znacznemu pogorszeniu na skutek przedłużającego się kryzysu, co wyraża się dziś nie tylko w masowym wyjeździe Europejczyków, lecz również w tej przerażającej liczbie: ilość bezrobotnych w stosunku do aktywnej ludności Algierii wynosi 70 proc. Trzeba również zrealizować rzeczywistą „rekonwersję” armii, a więc rozwiązać spór, który istnieje nie tylko w Algierze, między kadrami oficerskimi oddziałów krajowych (które poważnie zwiększyły się ilocznie od 19 marca) a kadrami przybyłymi z Oudja i Gardhimaou’a.

Kiedy zapytałem mego przyjaciela Mokrane, jakie widzi wyjście z tej tragicznej kłótni odpowiedział mi bez wahania:

„Tylko jedno. Trzeba wyjść z tego zamkniętego koła. Trzeba rozstrzygnąć debatę. Jedynym rozwiązaniem możliwym natychmiast byłoby zwolnienie zgromadzenia wszystkich kadr politycznych, wojskowych, związkowych, przedstawicieli studentów, kobiet itd. Byłoby to coś w rodzaju nieustannego kongresu, być może arbitralnego, co w każdym razie jest nieuniknione, który ustaliłby kalendarz umożliwiający szybkie utworzenie instytucji, rządu, rzeczywistego państwa a następnie zająłby się sprawą struktury partii i jej ideologicznej orientacji”.

Czy w tym kierunku pójdą Ben Bella i jego przyjaciele? Czy zgodzą się po swym drugim zwycięstwie na nawiązanie dialogu ze wszystkimi czy też pozostaną nieugięci po dokonaniu jedynie nieuniknionych ustępstw?

Ich postawa w ostatnich dniach wskazywałaby raczej na drugą hipotezę. Polityczny rozsadek, po całym tym chaosie, dyktowałby im przyjęcie pierwszej hipotezy. Zajmując ponownie wille w Algierze, która przez przeszło tydzień była pusta, muszą obecnie dokonać wyboru, na który wszyscy czekają...”

Bogusław Kogut

Kosztowne upupianie

Niedawno temu miałem nieszczęście napisać (na innym miejscu), że moje pokolenie niekiedy trochę za bardzo puszy się swoją wojenną biografiją. Dostało mi się potem od kilku „pokoleniowców”, prywatnie rzecz jasna, przy piwie. Myślę jednak, że miałem trochę racji. Przypomnijmy sobie, z jaką skwapliwością przyjęto nazwę „pokolenia Kolumbów”. U Bratniego (autora głośnej powieści „Kolumbowie rocznik 20”) symbol ten miał przeciw jakiegoś barbarwieniu obrachunkowo-ironiczne — potoczność zagubiła ten dystans, roczniki dwudzieste, zwłaszcza te starsze, które przeszły przez konspirację, partyzantkę czy fronty, pozostały „Kolumbami” na poważnie.

Byłem ostatnio świadkiem utarczki międzypokoleniowej. Był jeden „Kolumb” i jeden z tego pokolenia, które dzisiaj dochodzi trzydziestki, które o wojnę i bohaterszczyznę o-tarło się w wieku szkolnym, pokolenia cierpiącego na chroniczny brak okazji do osobistego ryzyka.

— Cóż, strzelać potrafi każdy bałwan, myśleć jest trudniej, a jeszcze trudniej pracować, tworzyć coś, działać w odheroizowanej codzienności. Cóż to jest to wasze pokolenie? Najlepsi z was zginęli, pozostała miernota obarczona kompleksami, sfrustrowana, obnosząca się z sobą jak kura z jaskiem, krzywozęba i sceptyczna. My to co innego! Stabilizacja, skok przemysłowy to nasze działo... — Taki mniej więcej był program jednej strony. A druga strona na to:

— To myśmy więcej zrobili. Nie tylko w konspiracji, w lasach i na frontach; to nasze roczniki walczyły na ukraińskim pograniczu i nie tylko tam, o to, żebyście wy mogli sobie do szkoły biegać. To nasze roczniki zabezpieczały z bronią w ręku wszystkie podstawowe akty rewolucji. Czyżby to było tak, że przetrzebione pokolenie czekało z założonymi rękami aż dorosła generacja geniuszy? Koń by się uśmieł!

Nie wtrącałem się do dyskusji, chciałem być neutralny, neutralność w naszych czasach rośnie w cenę, wystarczy rzucić okiem na tak zwaną arenę międzynarodową, by się o tym przekonać. Neutralność sprzyja także rozmyślanom typu mediatorskiego.

Mniejsza już o to, kto miał rację. Jedna i druga strona w licytacyjnym zapale gadała trochę od rzeczy. Albowiem nie tylko na strzelaniu polegał ruch oporu, na myśleniu również. A poza tym, jeśli strzelali bałwanowie, to jakim cudem wyginęli najlepsi? Druga strona zapomina znowu o tym, że wszystkim, w czym brała

przedz. Wtedy zaczynamy zadość młodym, a to ich beztro-ski, a to łatwego startu, wyszukujemy grzechy, zgłaszamy pretensje. Dopóki jesteśmy młodzi, chcemy poprawiać i sądzić starszych od nas, potem ani się spostrzeżemy, jak celownik nasz obraca się w drugą stronę i zaczynamy sądzić i poprawiać młodszych, następnych. To jest prawdziwość — i jej jedyną wadą jest to, że zbyt późno dociera ona do naszej świadomości. Zbyt późno zdajemy sobie sprawę z tego, że nie bywa pokoleń najlepszych i najgorszych, że w historycznym wymiarze nie należy w całości oceniać jednej generacji rówieśników, że role poszczególnych tak zwanych pokoleń zazębiają się i dopełniają — i na tym właśnie polega ciągłość postępu, rozwój kultur i cywilizacji. Nieświadomość (lub niepełna świadomość) tych prawdziwości objawia się zagapieniem w swoje pokolenie, w swój rocznik. Ten pokoleniowy egocentryzm, który ma wszelkie cechy samoupupienia, nie zawsze musi prowadzić do konfliktów, ale niekiedy utrudnia ocenę rzeczywistych możliwości indywidualnych jednostki przez nią samą. Utrudnia zatem efektywną pracę — produkcyjną, twórczą, jakąkolwiek. Tak oto koszty pokoleniowego samoupupienia często ponosi jednostka, jeszcze częściej cała (bez różnicy wieku) społeczność, nigdy zaś owo pokolenie, które jako zjawisko należy zawsze do rządu mitycznych.

Nieraz już mówiłem, że walka z mitami jest rzeczą trudną i niewdzięczną. Nie lubię się poutarzać. Ale niekiedy bywa to konieczne.

...nad i

Mieczysław Skąpski

Precz z jakananiem

wejść do świadomości ucznia niejako tylnymi drzwiami.

Automatycznie — bez refleksji

Swego czasu tygodnik „Polityka” w cyklu artykułów pod wspólnym tytułem „Obywatele, nie jakać się!” przedstawił dosyć żalony obraz nauki języków obcych w naszym kraju oraz stanu umiejętności posługiwania się tymi językami. Czy są nadzieje pozytywnych zmian tego stanu? Wydaje się, że tak. Do pewnego umiarkowanego optymizmu uprawnia nas rozmowa przeprowadzona z kierownikiem Katedry Języków Germańskich UAM prof. dr. Ludwikiem Zabrockim oraz dyrektorem Instytutu Języków Obcych TWP dr. Stanisławem Drabińskim.

Nasi rozmówcy potwierdzili, że obecna sytuacja pozostawia istotnie wiele do życzenia. O ile jest w naszym kraju dość dużo ludzi umiających czytać i rozumiejących rozmaite języki, to na ogół nie umiemy mówić w tych językach, jakamy się kompromitujując, szukając rozpaczliwie w pamięci słówek i konstrukcji językowych i usiłując z kłopotliwymi rezultatami zlepiać ze słówka w jakieś zdania. Przyczyna tego stanu leży, zdaniem naszych rozmówców, w metodzie nauczania języków i to zarówno w szkole średniej jak i na wyższych uczelniach.

Szkola średnia zasadniczo uczy gramatycznych ćwiczeń, a nie posługiwania się językiem. Lektorzy wyższych uczelni także uczą gramatyki, uczą o języku, uprawiają więc swoistą neofilologię, a nie uczą praktycznie języka. No a specjalistyczne kierunki uniwersyteckie w dziedzinie neofilologii (np. germanistyka, anglistyka itp.) już programowo zajmują się naukowymi badaniami języka, a nie jego praktyczną znajomością, zakładając, że tę studentci winni wynieść ze szkoły średniej.

Kolej na nas

Potrzeba znalezienia nowych metod nauki języków zarysowała się już dawno i nie tylko u nas. Znaczne postępy na tym polu zrobili szczególnie Amerykanie i Anglicy, a także Rosjanie. Przyszła wreszcie kolej i na nas i oto mamy już opracowane nasze własne metody uczenia języka, w pewnym zresztą stopniu wykorzystujące wzory zagraniczne.

Trzeba sobie z góry powiedzieć, że nowa metoda jest bardzo trudna dla lektorów, a bardzo łatwa dla słuchaczy. Opiera się ona na nowym modelu języka, na tzw. strukturalizmie. Przyjmuje się, że gramatyka czyli — nowocześnie mówiąc — struktura języka, potrzebna jest nauczycielowi, a nie uczniowi. Temu ostatniemu potrzebny jest praktyczny język i jego opanowanie. Nauczyciel musi więc być wzorem, on mówi, a uczeń powtarza za nim całe zdania, albo i dłuższe teksty i to od samego początku nauki. Uczeń przyswaja sobie pewien zasób słów (około 1 tys.) najczęściej powtarzalnych i uczy się ich używania. Gramatyka musi

Lekcja ma trwać 45 minut bez zadawania czegośkolwiek do domu. Nauka w domu jest nawet zabroniona! Najwyżej wolno dziennie przez 10 minut posłuchać radia w danym języku. Więc metoda bezwysiłkowa? Właśnie, bo nawet słuchając radia nie należy się silić na zapamiętanie czegośkolwiek. Dopiero w ostatnim miesiącu nauki przychodzi kolej na pisanie.

Ta zupełnie rewolucyjna metoda oparta jest na spostrzeżeniu, że w świadomości ludzkiej znajdują się konkretne zdania, natomiast baza, struktura języka znajduje się w podświadomości. Próbowano siłą wprowadzić strukturę do świadomości, stąd refleksyjność, jakanie się, zastanawianie. Tymczasem język sam buduje sobie podbudowę, przez powtarzanie zdań wchłania się strukturę i nigdy tak wchłoniętej się nie zapomina! Możemy zapomnieć słowa, lecz nie tak zmechanizowaną strukturę.

Szkola języków obcych?

Kurs wspomniany przyniesie rezultat taki, że uczestnicy będą swobodnie operować zasobem tysiąca słów w zdaniach, w sposób prze-

mienny, na tematy życia codziennego, będą czytać i przyswajać sobie solidne początki pisania. Ale tak przygotowany uczeń bardzo już szybko uczy się pisać. Krótko mówiąc jest to metoda bez refleksyjnego, automatycznego uczenia języka. W warunkach laboratoryjnych wypraktykowano ją już na UAM. Teraz w Instytucie TWP (na UAM nie ma warunków) przeprowadzi się od października pierwszy publiczny kurs 10-osobowy języka niemieckiego, a od początku 1963 r. — angielskiego. Przysłuchować mu się będzie 4 lektorów i asystentów, którzy będą mogli potem samodzielnie przejąć prowadzenie takich kursów. Na egzamin zaproszeni będą przedstawiciele ministerstwa: Szkolnictwa Wyższego i Oświaty, które zresztą już skłaniają się ku nowym

metodom. Projektuje się nawet utworzenie specjalnej Szkoły Języków Obcych, jako wyższej uczelni, już w przyszłym roku szkolnym.

Wymaga ustalenia ilu ludzi w kraju powinno z takiej metody skorzystać, ilu powinno znać dany język czynnie, a ilu biernie, z rozbić na poszczególne zawody; ilu wobec tego trzeba przeszkolić lektorów do wykonania tych zadań itp. Biorąc wąskim gardłem są obecnie lektorzy. Najwyżej 10 lektorów w całym kraju zdolnych jest podjąć się obecnie nauczania według nowych metod.

Poczekajmy więc na wyniki pierwszego w kraju eksperymentalnego kursu w Poznaniu. A może naprawdę skończymy nareszcie z jakananiem?

Miedzy fikcją a mandatem

Dokończenie ze str. 1

zmniejszenie liczby międzyludzkich konfliktów i wszelkiego rodzaju wykroczeń. Samo oparcie się przy tym o tyle słuszną co dla ustawodawcy godną zasadę domniemania znajomości prawa — niewiele tu pomoże; niezbędna jest szeroka praca popularyzatorska. Nie tylko pośród szarych mieszkańców wsi. Także — a może przede wszystkim — pośród urzędniczej braci.

Owszem, odbywają się rozmaite szkolenia. Powołano do tego celu specjalny ośrodek w Jankowicach koło Poznania. Tamże okazuje się zazwyczaj, że pracownicy aparatu rad narodowych — nie tylko ci z biur GRN — nadal wykazują, delikatnie mówiąc, niedostateczną znajomość arkanów prawa. Przed pewnym czasem szkolono tam urzędników, prowadzących sprawy melunkowe. Wyszło na jaw, że przepisy, które powinny z racji profesji stanowić dla szkolonych chleb powszedni — kryją dla nich masę tajemnic. Jakże więc dziwić się, że wieśniak, do którego zjechał szwagier z Poznania, nieświadom jest obowiązku meldowania przybycia przed upływem czwartej doby?

Pracownicy urzędów rad — często wykazują nieznajomość przepisów z zakresu melioracji. Związczą w powiecie trzcińskim wielu rolników pozwanych zostało przed kolegium orzekające (z tytułu niewykonywania przepisanych prawem robót), choć powinny im zostać doręczone pierwszej upomnienia.

Jak dalece urzędnikom nieznany okazał się ten ustawowy wymóg świadczyć fakt, iż w ogóle nie dysponowali drukami o podobnej treści. Nie przeszkadzało im to jednak wymagać pełnej znajomości przepisów od miejscowych rolników.

Aby móc z jako tako spokojnym sumieniem egzekwować na wsi zasadę domniemania znajomości prawa — należałoby w biurach GRN stawić do dyspozycji obywateli komplet „Monitora”, „Dziennika Ustaw” i lokalnych wojewódzkich dzienników rozporządzeń. Nie jest to propozycja realna ani celowa, choćby dlatego, że na wsi nikogo na luksus stałego ślęczenia po bibliotekach nie stać. Cóż wobec tego czynić, aby chłop nie dowiadywał się dopiero przy okazji płacenia mandatu (albo na kolegium orzekającym), z której strony wozu ma mieć tablicę, lub ile metrów odległości winien zachować między stogami?

Posłużmy się tu analogią. Otóż obowiązujący stosunkowo od niedawna Kodeks Postępowania Administracyjnego — zrywa z fikcją domniemania znajomości prawa; stanowi on w jednym z artykułów części ogólnej, że obywatel nie może ponieść szkody ze względu na nieznajomość prawa. Na organach administracji ciąży obowiązek informacji prawnej.

Ale KPA nie ma nic wspólnego ze sprawami karno-skarbowymi, karno-administracyjnymi, z przepisami o obowiązku służby wojskowej itp., z którymi styka się co dzień nasza wieś, a w stosunku do których życiowa zasada obowiązku informacji prawnej nie znajduje zastosowania.

Nie jednak nie stoi na przeszkodzie, a przeciwnie, wynika to z humanistycznych idei socjalizmu — aby, per analogiam, nasza administracja państwowa zadbała o upowszechnienie znajomości prawa w ogóle. Co nieco już się w tym zakresie robi, o czym była mowa na wstępie. Ale można i chyba należy zdziałać więcej. Oto kilka propozycji.

Przedewszystkim należy zadbać o zaaplikowanie słuchaczom rozmaitego typu szkół rolniczych (nie tylko techników) minimalnej choćby porcji nauki prawa; dalej — wprowadzić jego elementy do jesienno-zimowej kampanii szkoleniowej dla rolników; rozszerzyć ramy rozmaitych spotkań z ludnością — przez włączenie do nich członków Zrzeszenia Prawników Polskich; nie od rzeczy byłoby wykorzystanie prelegentów Towarzystwa Wiedzy Powszechnej; Powiatowe Związki Kółek Rolniczych powinny co ręką pomysłować o prawnikach, może na półetatach.

Możliwe, iż te propozycje są trochę nieporadne. Chodzi jednak o istotę rzeczy: statemu pomnażaniu ulegają przepisy prawne — a żadne znaki na ziemi nie wskazują na proporcjonalne przyswajanie ich przez obywateli.

Ludzie w Polsce lubią mówić, że przepisy są po to, aby je omijać. Władza stoi na stanowisku, że przepisy wydają się po to, aby być przestrzegane. A życie poucza, że przepisy łamane są najczęściej dlatego, że są ogółowi po prostu obce.

PIOTR ŻYCKI



Dokończenie ze str. 2

Przemówili więc: ale tylko to, tylko to.

A w oknie zamigotał jasny punkcik, tam, gdzie droga skręcała do lasu, błyskał pod wierzbą i ten pod oknem skłaniał punkcikowi ręką, jakby go pozdrawiał.

A oni wciąż tylko to.

Chudy ponowił zaproszenie do dyskusji i ten trzeci wstał i jeszcze nieco podkręcił knoć. Zrobiło się jeszcze ciżej.

Wtedy rozległ się warkot motoru, wypadł gdzieś zza domu tak nagle, że i tutaj zafalowało i rozszepiała się ta izba i znów ucihła, bo ktoś stukając bułami, wszedł do wnętrza.

— Najwyższy czas, towarzyszu, żeby jechać — powiedział. To był kierowca a tamci na sali poznali go i odprężyło się coś, zjechało jakby i poruszyło koniuszkami włosów — tak silny był powiew wstchnięcia. Niechże sobie jadą z Panem Bogiem tam, skąd przybyli, niech wracają szczęśliwie do tych swoich kominów, wagonów i fabrycznego smrodu.

— Sami rozumiecie — rzekł kierowca — sami rozumiecie, że później...

— Nie — powiedział, biorąc do ręki jakieś kartki — jeszcze nie skończyłem, jeszcze nie skończyli, towarzyszu — rzekł, zwracając się do chmurnej, bladej twarzy kierowcy, a polem do nich:

— No, proszę śmiało!

A oni wciąż to, tylko to.

I znów w sieni zadudniły mocne kroki. Ci, którzy mogli tu przyjść też dudnili, po buiach trudno rozpoznać czlowieka.

Wstrzymali oddechy, oczy im się zakręciły i gorączka w nich była i lek i zakłopotanie. Uwaga skupiła się na drzwiach. Chudy tam spoglądał i ten drugi spod okna i ten trzeci, który przypominał, wszyscy spoglądali. A do izby wszedł miejscowy milicjant z paskiem pod brodą. Coś pękło jakby, przewalilo się i zaszedł a polem znowu jakby makiem posiał a w ciłyrowej jasności lampy jeszcze wyraźniej widać było otwór od kuli i teraz nie mogli nie zobaczyć rudawej plamy na desce w ścianie.

— Towarzyszu — powiedział milicjant, głos miał niespokojny, rozchwiany, podobny do plomynki, kołyszającego się w szkiełku lampy (a jednak czuło się że oddech) — ja za nic nie odpowiadam, najwyższy czas, żeby jechać — nachylił się i szepnął mu w ucho: — wieś zaraza, sami mikolajczykowcy...

— Wiem — powiedział chudy — doskonale o tym wiem — obrócił wzrok ku oknu, przez które ten drugi wypatrzył wielkiego ale przecież ukryta go noc i bezgraniczny cień wierzby. Tylko punkcik świecił jak robaczek świętojański. Chudy uśmiechnął się.

Pomilczeli i zwolna zaczęli opuszczać tę salkę a trzeci, który jak się wszystkim zdawało, przespał część zebrania, podszedł do niego i rzekł z naciskiem:

— Dobranoc.

— Bardzo wam dziękuję — odpowiedział chudy.

Przed domem leżał jeszcze szarożółty krąg, odbłask lampy, kawałek życia w tej nocy przekiętej; tamci już się porozchodzili, a ten, który siedział pod oknem też zagłębił się w bezgwiezdnej ciszy, wypełnionej tylko szczekaniem i skowiem psów ale przecież i te odgłosy marły, bo wszystko teraz marło i człowiek mógł zemrzeć, dopiero świat przynosił wyzwolenie.

Tymczasem punkcik, małe światełko, rosło i rosło, nabierało kształtów i wkrótce drząc lekko, zbliżyło się na odległość ręki, zatrzymało przed nim i chudy usłyszał sapanie przeogromne i stanął obok niego fragment nocy z latarką na wysokości bioder.

— Jest za ciemno, żeby jechać — powiedział do chudego ten, który był światełkiem — niech pan idzie ze mną — rzekł.

— Jest ciemno — powiedział chudy — zostanę tu na noc.

— Przenocuje pan u mnie — powiedział ten, który stał na warcie pod wierzbą, ale był częścią gładkiej tafli, był „nie”, po tysiącokroć „nie”, ale był i nadzieją, na pewno nią był, inaczej wszystko nie miało by sensu. — No i co! — dał znak latarką. Wzniósł ją i oświecił sobie twarz. — Boi się pani — spytał wielki.

— Chodźmy — uśmiechnął się chudy i ruszył za nim w głąb wsi.

Edmund Pietryk

Trzy zapisy

Ta oto dziewczyna górująca na ulicy nad najmocniejszymi mężczyznami o głosie, pozbawionym jak zwykliśmy sądzić w takich wypadkach kobiecości, czyli obiegowego, samczego powabu — zdobyła sobie wielką szansę piękna przez rzut dyskiem. Spróbujcie ją zobaczyć w kole niby w czerwonej pieczęci na zielonej murawie boiska, kiedy opięta dwukolorowym kostiumem z jedną dłonią swobodnie czujną, zawisa nad pochylonym czołem niby w baletowej figurze wyrażającej zmartwienie lub wstyd, drugą zaś waży w skupieniu drewniany krążek błyskający metalową obwódką, potem napinają się pierś, drgają szeroko rozstawione nogi i widać już tylko puszysty kwiat szarpnięty ostrym porywem wiatru. Moment, kiedy ręka bezwładnie zawisa w powietrzu po wyrzuceniu dysku jest znów figurą alegoryczną, wyrażającą pragnienie miłości lub radość z pocałunku.

Nieco większe ryzyko w krzesaniu piękna podjęła aktorka, u której brak urody podkreślają ci okrutnicy piszący publiczne cenzurki przy okazji chóralnego poklasku dla jej rzemiosła. Jest wielkie ryzyko w tej dziedzinie wrzynać się w teatralny makijaż, a jakże podobnej do strumienia wciśniętego w skalisty grunt — do cichego strumienia, w którym cała wycieczka może wypukać swo-

je brudne łapy, a przy nieco większym skupieniu dopatrzeć się blasku najczystszej zieleni. Ryzyko piękna tej istry polega na jej użytecznym charakterze dla tych kompletów wycieczek wypełniających codziennie teatralne łoże.

Ten poeta wydałby mi się piękny tylko z zębami zatopionymi w soczystej pomarańczy albo w brzoskwinii ze sprężonym słońcem kraju — może dla ostonienia nierównego uzbicia, a może dla podkreślenia kwietyzmu jego bezustannych agresji. Nie od rzeczy byłaby tłustawa kropla soku ściekająca po brodzie w odróżnieniu od istry aktorki. Trudno mi jednak wyobrazić bezmiar jego brzydoty przy jedzeniu agrestu, tego najbardziej skromnego i prawdziwego owocu, który nikomu nie skąpi cierpkości.

Starcy na plaży

Przed wejściem na plażę stał człowiek grający na oboju. Nie powiem o nim: artysta, bo to wartość niewymierna i nie powiem: muzykant, bo to za mało. W kapeluszu z piórem i w secesyjnym surducie grał wydymając policzki

i marszcząc brwi i oto widziałem ludzi wyjmujących zęby z ciepłej, tłustej i drogiej kukurydzy — jaką rozkoszą było urwać u nich ten moment zębowości i zneruchomienia na chwilę ręce wzdłuż lub w poprzek nóg, niejednokrotnie obwisłych tułowi. Większość z nich zawracała na plażę, gdzie zapewne złożone były ich pieniądze. Przychodzili z kukurydzą nie ugrzyzoną ni odrobiny więcej i wrzucali monety do drewnianego pudełka u jego stóp. Człowiek ten grał dalej marszcząc brwi, jakby sypano mu kwiaty i oddawano należny hołd. Nie było w tej sytuacji nic upokarzającego dla obu stron. Ja sam, chociaż jestem uprzedzając zapobiegliwy w sytuacjach, gdzie w grę wchodzi uprzejmość lub litość, dzięki czemu tak często robię z siebie durnia, zachowałem się równie godnie i umiarkowanie jak półnagły ludzkie. Nie ważne, że temu obojście brakło dwóch palców u prawej ręki. Litość półnagich ludzi przeznaczona była dla dwóch starców (jednego ślepcę, drugiego bez rąk — z rękawów wystawały mu haki, na których niósł dwie nieheblowane skrzynki), przechodzących dwa razy dziennie przed plażą. Tu istotny był tylko ten jedyny moment zbiorowej fascynacji, tak obcej większości sztuk widowiskowych, które także często przypominają plażowy głośnik skupiający uwagę tylko na moment komunikatu o czasie.

latem w Siołok

Ewa Berberyusz

Kto tu jest młody?

Przepraszam, jak ci na imię?
— zbliżam się do siwej pani w dzinsach.
— Barbara. A bo?
— Zostawiłaś w schronisku. To chyba twoje? —
podaje jej puderniczkę.

Zaraz po śniadaniu zrobiliśmy małe zebrańcie i postanowiliśmy mówić sobie ty. Jest nas osiemnaścioro. 12 kobiet i 6 mężczyzn. „Turnus wybitnie damski” — powiedział przewodnik z odcieniem lekkiego zniechęcenia.

W sezonie co dwa dni wyruszają na szlaki turnusów wczasów wędrownych. Trasa jest znana. Noclegi i wyżywienie zarezerwowane. Nieznani są tylko ludzie i pogoda. To też to dwa problemy pasjonują najbardziej: kogo się spotka i czy nie będzie lało. Co innego mieszkać z kimś w pensjonacie, a co innego wędrować po górach.

— Złe, całkiem złe! Nie pędź, jakby cię kto gonił, a wolno, spokojnie. Krok krótki, taneczny. O tak, teraz lepiej. — Siwowłosa Barbara poprawia mi plecak. — Tylko nie mów przy podejściach! Dwa razy tyle się człowiek męczy. Bo, będą szła za tobą.

U nas najlepiej chodzą facetki po czterdziestce. Jest ich kilka: Barba-

ra, Maria, Stefa, Janka. Spokojne, wyprostowane, o włosach krótko przystrzyżonych, twarzach z lekką pomarszczoną, lecz czerstwych i ogorzałych. Długo jeszcze będą się tak trzymać. Gdy zrobiłaś uwagę na temat młodego wyglądu Barbary, odpowiedziała z humorem: „Z tytu liceum, z przodu muzeum”.

*

Szykujecie się na luksus, dziewczyny! To będzie coś ekstra klasa! Zapomniałam o mądrych uwagach Barbary i ostatnim wysiłkiem, przysięgła do ziemi, wlokę się pod górę. Cała świadomość koncentruje się w ciężącym nieznośnie plecaku.

— Ooo! — okrzyk zachwytu wyrwa mnie z tepego zapamiętania. Przed nami, na szczycie Turbacz, królującego nad Gorcami, schronisko-perla.

Powoli zbliżamy się, wchodzimy. Fertyczne pokojówki pastują lśniąca posadzkę. Gorący prysznic zmywa zmęczenie. W czystych toaletach papier higieniczny. W bufecie — poszukiwany na nizinach owoc w płynie. Po śniadaniu kierownik pyta; jak smakowała rzodkiewka. I pomyśleć, że wszystko tu dowozi osio!

Wieczorem telewizja i astronomia.

— O tam, tam! Widzi pani tę mgławiczkę?! Tam z prawego rogu — przystawiam oko do lunety — to właśnie Andromeda.

— A te światła tam?
— A to konstelacja... Nowy Targ znacznie bliżej.

Na Turbacz ułokowała się grupa astronomów. W sierpniowe noce obserwują gwiazdy i liczą czas spadania meteorów.

*

Szpilki, nylony, sztywna halka, bateria kosmetyków. No, dość. Gdzie papier? Szybko! Póki jeszcze flirtuje z tymi Francuzami.

Paczka zostaje spakowana i nadana w pobliskiej poczcie. Piękna Jola, studentka psychologii, pilnuje Francuzów, którzy właśnie wyładowują się z traw nad Dunajcem.

— Magnifique! C'est un paysage unique! Un peu comme la Corse?! — Francuzi głośnymi okrzykami wyrażają zachwyt. Przełom Dunajca i Pieniny wydają im się czymś specjalnym, jedynym w swoim rodzaju. Podobny krajobraz można tylko spotkać niekiedy na Korsyce.

— Joluś, ten twój plecak dziś jakiś taki lekki! — inżynier z Krakowa, Don Kichot-Podbięta, zwany tak dla swej dobroci, siły fizycznej, bujania w obłokach i wileńskiego pochodzenia, nie może się nadziwić. Przy męczących podejściach niedostępnym admirałowi Joli zabiera jej plecak i wiesza sobie na szyi.

— Wiesz! Mnie się też tak zdaje! Co to może być! — Nie zauważyła, że z czeluści jej plecaka wywędrowała i pojechała do domu znaczna część niepotrzebnych rzeczy.

— Idziemy szukać Stefy!
— Po co? Zna góry lepiej od was.
— Ale ta mgielka, ta niebezpieczna mgielka! Widoczność zero. Jeszcze się zgubi w tym mleku.

W drzwiach stoją chłopcy w pełnym rynsztunku. Skafandry, kije, latarki. Dreszczyk emocji. Taka gratka: ekspedycja ratownicza! Pięćdziesięcioletni Staś, farmaceuta, aż drży z podniecenia.

Później nie mogli darować Stefie, że się znalazła cała i zdrowa, na dobrej drodze i w odległości kilkudziesięciu metrów od schroniska.

— Coście, chłopaki! Od dwudziestu lat każdy urlop spędzam w ten sposób i nie w taką pogodę chodziłam już sama po górach — mówi Stefa, nauczycielka z Radomia.

— No, ale gdybyście mnie uprzedzili — dodaje po chwili, widząc ich strapienie miny — to dałoby się zaaranżować jakie efektowne ziamanko z tobogganom. Byłaby draka!

*

Zanim jeszcze wyjdzie się z lasu na otwartą przestrzeń, już słychać Paula Ankę. Pogłos po górach niesie daleko. Przed nami Ryto nad Popradem. Kluczowy punkt wyjścia wielu wycieczek po Beskidzie Sądeckim. Kilka chałup, kilka podejrzanych pałacyków, gospoda, stacja turystyczna i kafejka pod parasolami. W niej od trzeciej do późna studenci Akademii Sztuk Pięknych. Twist, „grupy Laokona”, alkohol...

Przeciętna wieku naszego turnusu: 38 lat, ich — 19. Zachodzimy tam na chwilę. Po ciszy bukowego lasu dojmujący, wyrafinowany głos Paula Anki działa jak szok. Pochoodzi do nas osiemnastoletni pięknotuch ze szklanica:

— Jak się było młodym i miało się tę kondycję, chodziło się po górach. A teraz — macha ręką. — Cóż mi zostało? Frustracja i... — blaskawicznie przegina się do tyłu i bluzga: — Everybody twist!!! — I już całe grono chybotnie się zgodnym rytmem.

Stoimy jak zahipnotyzowani. Kto tu jest młody? Oni czy my?

Ryszard Danecki

Dedykacja

György Nagy-Sutarskiej

Przyjaciele są wszędzie. Gdzieś ręka czyjaś czeka zawsze na rękę twoją podanie — a trudno wytłumaczyć, co to jest: przyjaźń... Może nozdrza nurzający w źródle daniel?

Ilością wrogów — siłą swoją się mierzy, a czegoż miarą przyjaciół liczba będzie? Serce i miecz — dużo jest jeszcze pomiędzy! Więc mów po prostu: przyjaciele są wszędzie...

Eugeniusz Paukszta

Sezon w pełni

Ma słowa przesady w zapowiedzi wydawców, gdy piszą, że dzieło ich jest unikatem edytor-
skim. Myślę tutaj o wydanym przez MON, II tomie pomnikowego dzieła pt. „Żołnierz Polski, ubiór, uzbrojenie i oporządzenie od wieku XI do roku 1960”. Tom drugi, wydany obecnie, obejmuje okres lat 1697 do 1794 i oparty jest na pracach zastępowego dla historii dziejów wojskowości polskiej Bronisława Gembarzewskiego. W ponad 200 planszach, w tym wielu barwnych, poznajemy zewnętrzną, uni-
formową niejako

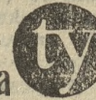
stronę żołnierza polskiego, w zmierzających się formach stroju i uzbrojenia, z wyodrębnieniem tak szczególnych formacji, jak żołnierzy Konfederacji Barskiej itp. Całość tego dzieła obliczona jest na sześć tomów. Kolejny zapowiadany jest już na przyszły rok.

Skoż już jesteśmy przy sprawach wojskowości i wojen, należy odnotować jeszcze kilka książek MON-u. Jako kolejna z nagrodzonych pozycji konkursowych ukazała się powieść Stanisława Wygodzkiego „Serce mego rodzeństwa”, jeszcze raz sondująca czas okupacji w płaszczyźnie ideowych rozliczeń. Wygodzki, jak zawsze, pisze z zaangażowaniem, nie uchyla się od poruszania spraw trudnych i drażliwych, tropi prawdę i szuka odpowiedzi na pytanie, gdzie mieściła się pełnia sensu przedsięwziętej przeciw okupantowi walki. Henryk Panas w powieści „Cierpki owoc”

nawraca do przeżyć patryzant-
kich, poprzez losy bohatera pomysłanego w sienkiewiczowskim typie, starając się ukazać złożoność postaw ideowych minionego groźnego czasu. Wątki zbudowane są w oparciu o dramatyczne wydarzenia autentyczne i poszerzone o obrazy przeżyć wewnętrznych bohaterów.

Inny typ prozy reprezentuje dosyć osobliwa powieść włoskiego pisarza Ugo Pirro pt. „Jovanka i inne”, gdzie autor w oparciu o dzieło partyzantki jugosłowiańskiej usiłuje ukazać drogę ekspiacji

z książką na



dziewcząt frater-
nizujących się z
okupantem. Ekspia

cja wiedzie poprzez partyzantkę, ale... i tam erotyka zdecydowanie przeważa, a sens moralny i ideowy utworu dziwnie się gmatwa.

Z innych godnych polecenia pozycji, trzeba wysunąć na czoło pracę Jana Pachonńskiego „Drukarze, księgarze i bibliofile krakowscy 1750—1815”, opublikowaną przez Wydawnictwo Literackie, źródłowe studium o dziejach krążenia książki od drukarza po nabywcę, o bibliofilach krakowskich, o entuzjastach spośród mieszczan i rzemieślników. Dobrze opracowane aneksy uzupełniają książkę. W tym samym wydawnictwie ukazał się tom dramatów Jerzego Broszkiewicza pt. „Sześć sztuk scenicznych”, od głośnych „Imion władzy” po „Skandal w Hellbergu”. Dramaty Broszkiewicza, zdające egzamin na scenie, dobre są również w czytaniu, co stanowi ich dodatkową zaletę.

„Wydawnictwo Lubelskie” wydało opowieść biograficzną Krystyny Jabłońskiej o Oktawii Zeromskiej pt. „Oktawia”, będącej, jak wiadomo, pierwowzorem Mądzi z „Emancypantek” Prusa i Joasi Podborskiej z „Ludzi bezdomnych” Zeromskiego. Tym ciekawsza się staje zresztą i z kulturą napisana opowieść Jabłońskiej.

Eutuzjastom godziwych rozrywek intelektualnych polecam wydaną przez „Wiedzę Powszechną” doskonałą pozycję Urszuli Kołaczekowskiej „500 zagadek z historii sztuki”. Okazja do przebadania swej wiedzy w tym zakresie.

dachówek, w Czechosłowacji 13,8 a w Polsce — tylko 3,3.

Słowem — niedobrze.

O kadrach dla szkolnictwa

Na łamach GŁOSU NAUCZYCIELSKIEGO zwraca uwagę artykuł Kazimierza Wojciechowskiego pt. O niektórych problemach kadrowych szkolnictwa. Autor pisze w tym artykule o tym jak wygląda obsada kadrowa szkolnictwa w nowym roku, o tym czy istnieje brak w poszczególnych typach placówek oświatowo-wychowawczych, jaki jest poziom przygotowania zawodowego i pedagogicznego kadry nauczycielskiej i jakie istnieją perspektywy w tym zakresie. Autor stwierdza m.in. że w bieżącym roku potrzeba dla szkół 405 fizyków, a kończy studia zaledwie około 200 osób, potrzeba 263 rusycystów, a kończy ok. 34 osoby, potrzeba 322 matematyków, a kończy ok. 240 osób.

„Czy w tej sytuacji — pyta autor — nie słusze byłoby uruchomienie na uniwersytetach wydziałów nauczycielskich z kierunkami studiów, w których odczuwamy w szkołach największe braki?”

Brak kadr to jedna z wielu trudności szkolnictwa, które rozpoczyna nowy etap swego rozwoju. Tych trudności jest znacznie więcej i szkolnictwu trzeba będzie pomóc.

Radzimy przeczytać

Poza tym warto zwrócić uwagę na artykuł Wojciecha Sulewskiego pt. Partyzancki kraj (Nowa Kultura), artykuł Krzysztofa Wolickiego pt. 30-latk — twór nieskończony (Polityka), artykuł Władysława Dudzińskiego pt. Czy może być niechce — czy chce, lecz nie może (Życie Gospodarcze) — coś dla interesujących się motoryzacją, bowiem rzecz dotyczy Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu.

LEKTOR



Dożywnia grzywna?

Dyskusja nad projektem kodeksu rodzinnego zaleca coraz szersze kręgi. Dwa tygodnie temu omawialiśmy w tym miejscu artykuł dyskusyjny z POLITYKI, przed tygodniem polemikę z PRAWA I ŻYCIA, a dzisiaj chcielibyśmy krótko omówić pozycję Jana Pawła Gawlika pt. „Dożywnia grzywna za zdradę małżeńską”, która ukazała się w najnowszym ŻYCIU LITERACKIM.

„Jeśli projekt stanie się prawem w dotychczasowym brzmieniu, ustalona zostanie (...) nie nowa zasada alimentacji, ale sztywna cena rozwodu, zdumiewająco wysoka i równie niemoralna. (...) Drakońskie wobec nierzetelności mężczyzny, dla nielicznych przypadków granicznych przybierający niebezpiecznie radykalną, chwilami wręcz niehumanistyczną postać — dla kobiet staje się zaskakująco łagodny i niepedagogiczny, otwierający pole do najbardziej obrzydliwych nadużyć.”

Autor ma na myśli artykuł 931 §2 projektu, który brzmi: „Okoliczność, że matka w tym okresie obcowała także z innym mężczyzną, może być podstawą obalenia domniemania (o ojcostwo dziecka — przyp. nasz) tylko wtedy, gdy z okoliczności wynika, że ojcostwo innego mężczyzny jest bardziej prawdopodobne”.

Ale nie tylko to budzi wątpliwości. Jeden z artykułów projektu stwierdza, że: „Jednakże małżonek uznany za wyłącznie winnego rozkładu pożycia obowiązany jest, na żądanie drugiego małżonka, jeżeli ten nie może własnymi siłami zapewnić sobie takiej stopy życiowej, do jakiej był uprawniony przed orzeczeniem rozwodu, dostarczać mu potrzebnych w tym celu środków.”

Autor omawianego artykułu uważa takie sformułowanie za stworzenie ustawowych gwarancji dla kobiety, której udało się złapać lepiej sytuowanego męża. Chyba słuszne są obawy J. P. Gawlika. Przecież stwarza to w instytucji małżeństwa coś w rodzaju polisy zakładu ubezpieczeń, dającej gwarancję dożywotniego czerpania korzyści! Chyba nie o to chodzi.

Bunt, krytyka, perspektywa

POLITYKA rozpoczęła publikowanie cyklu szkiców wybitnego eseisty marksistowskiego, działacza Socjaldemokratycznej Partii Austrii, Ernsta Fischera pt. Między światem a zmierzchem. Cykl ten poświęcony jest sprawom współczesnej sztuki po obu stronach ideowej barykady. Autor porusza w nim zasadnicze problemy: współczesność a tradycja, odrębność sztuki socjalistycznej, dogmatyzm, dekadentyzm i postępy, sztuka a rzeczywistość, kultura masowa. Pierwszy szkic nosi tytuł Bunt, krytyka, perspektywa. Poświęcony jest literaturze światowej. Mimo że autor wyprowadza swe wnioski z przesłanek ogólnie znanych, są to wnioski odkrywcze i nowe.

„Podstawą wspólną dla wszystkich wybitnych artystów i pisarzy w świecie kapitalistycznym — rozpoczyna Fischer swój esej — była i jest niezgoda na otaczającą ich rzeczywistość społeczną. Wszystkie ustroje społeczne znajdowały wielkich, artystycznych apologetów (obok oskarżycieli i buntników), jedynie w ustroju kapitalistycznym odbiegająca od przeciętności sztuka i literatura, była i jest pretekstem, krytyką, rewoltą.”

Omawiany cykl polecamy nie tylko fachowcom.

Serce na gwoździu...

...to tytuł nowego cyklu felietonów Melchiora Wańkowicza w PRZEGŁĄDZIE KULTURALNYM. Jak zwykle u tego autora rzecz jest napisana z nerwem, pasją i połołem nad którym często sam Wańkowicz nie panuje. Oto próbka:

„Bodźca mi dostarczył felieton sąsiada przez Felietonową ścianę, Jerzego Putramenta. Poruszył mnie tak, że zakląłem przekleństwem, które zaaplikował metrampaż w Tel-Awivie zecerowi składającemu moją książkę o Żydostwie:

— A żeby twoje serce w trefnej jatce na zardzewiałym haku wisiało.”

Felieton poświęcony jest literaturze, literatom i recenzentom. Naprawdę, warto przeczytać, chociaż nie we wszystkim można się z autorem zgadzać.

Podróż po Polsce

Taki tytuł nosi pierwszy odcinek reportażu refleksyjnego Władysława Bienkowskiego w PRZEGŁĄDZIE KULTURALNYM.

„Już od szeregu lat w czasie przejazdów przez wsie — pisze Bienkowski — niepokoiło mnie zjawisko, które wydawało mi się jakimś anachronizmem wybrzykiem. Oto buduje się dom — znaczy większą chałupę — buduje się czasem z cegły, częściej z jakichś domowym sposobem sfabrykowanych, nieforemnych kostek tzw. gruzobetonu — wyprowadza się taki budynek pod dach, po czym kryje się go słomą! Z początku wydawało mi się zwyczajnym naruszeniem przepisów... o rygorystycznym przestrzeganiu warunków pożarowego bezpieczeństwa... Tymczasem w czasie tegorocznego przejazdu przez najcentralniejsze okolice Polski (...) mogłem stwierdzić, że ilość nowych strzech wzrosła, że nowy budynek kryty słomą jest zjawiskiem powszechnym.”

Autor tłumaczy to zjawisko faktem, że nasi producenci nie lubią dachówek wywierać, bo prawdopodobnie im się to nie opłaca. O ile w 1955 roku wyprodukowano 127 mln sztuk dachówek, o tyle w 1961 r. — tylko 86 mln., a przecież budownictwo na wsi ogromnie wzrosło. Przy tym produkcja innych niezbędnych materiałów jest wciąż niedostateczna. Sytuacja naprawdę alarmująca, tym bardziej, że w 1960 roku w Bułgarii wyprodukowano na jednego mieszkańca 30